Rozmaitości

Dnia 19. Października Nr 42. 1839 Roku.

UŁAMEK Z OPISU

ŻYCIA MEHULA.

Brazier przechadzając się z przyjacielem swoim po kwiecistych zakrętach tureckiego ogrodu w Paryżu, opowiadał mu jednę z owych anegdot, którym tak wiele wdzięku nadawać umiał; ale za jednym razem uciął opowiadanie, gdyż spostrzegł, że towarzysz jego wlepił wzrok swój w dóm, który stał naprzeciwko przy bulwarze.

»Dlaczegoż z taką uwagą patrzysz w tę stronę?« zapytał Brazier.

Młody człowiek wskazał na małe, samotne okno, w około którego zewnątrz bujny bluszcz i winny krzak swoje wieńce porozwieszały. Po za firankami z cienkiego, przejrzystego muszlinu, widać było powabną twarz jakiejś młodéj dziewczyny, która trzymając w ręku książkę, bardzo w niéj zaczytaną być się zdawała.

»Osobliwsze wypadki przypomina mi to okno«, rzekł Brazier z westchnieniem: »Na długi czas wprzódy, nim ta młoda dziewczyna i wszyscy inni mieszkańcy dóm ten zajmowali, wielki jenijusz, jeden z najcelniejszych kompozytorów, którym Francyja jeszcze po dziś dzień chlubić się nie przestaje, zamieszkiwał go przez cztéry lata. Młody człowiek ten miał podówczas lat trzydzieści i dwa, urodził się w Givet, i odebrał od swego ojca, byłego nadzorcy warowni w Charlemont, troskliwe wychowanie.

Zaledwo że wyszedł z niemowlęctwa, już okazał namiętną chęć do muzyki. Ojciec troskliwy, by nie poszła w poniewierkę ta wrodzona zdolność i ochota dziecięcia, oddał je na naukę do organisty, jedynego muzyka, który w tém mieście się znajdował. Stary organista, jakkolwiek ociemniały, rozwinął muzykalne zdolności swojego ucznia do tego stopnia, iż ten, mając dopiéro lat dziesięć, grał już w kościele franciszkańskim wielką mszę na organach, i wkrótce potem tytuł i pensyję organisty przy zamożném opactwie w Valladieu otrzymał. W tém miejscu zostając pod przewodnią pewnego niemieckiego zakonnika, który w nauce kontra-punktu był bardzo biegłym, wydoskonalił się w kompozycyi. Młodzieniec ten pobudzany chęcią wykształcenia swego talentu, udał się w roku 1779 do Paryża. Uczył się grać na fortepijanie od Edelmana i w krótkim czasie został najcelniejszym uczniem tego biegłego fortepijanisty. Przypadek zdarzył, iż nie zadługo zabrał znajomość i pozyskał przyjaźń pewnego człowieka, który podówczas bardzo słynął.

Właśnie w ten sam czas przyjechał był do Paryża kawaler Gluck, w celu przedstawienia na teatrze swojego ostatniego muzycznego utworu pod nazwą: »Ifigenija w Taurydzie.« Młodzieniec trawiony żądzą usłyszenia przewybornéj muzyki, lecz niemający nadziei użycia téj rozkoszy, gdyż cena biletu za piérwsze przedstawienie byłaby wyczerpała całą jego kasę, postanowił użyć przebiegu. Udawszy się na próbę jeneralną, sądził, że w jednéj z lóż ukryć się zdoła, lecz zamysł jego nie powiódł się bynajmniéj; stróż zwidzający wszystkie kąty przed zamknięciem teatru, wytropił biédnego przemytnika, i z wielkim wrzaskiem przymusił go do wyjścia z kryjówki. Szczę-

ściem dla ubogiego dyletanta, że Gluck jeszcze nie był wyszedł z teatru, i zapytawszy o przyczynę tego hałasu, dowiedział się o całéj rzeczy z ust samego młodzieńca, który drzał z bojaźni przed tak wielkim artystą. Widok młodzieńca mającego dopiéro lat szesnaście, a który tak namiętny okazał zapał do pięknego umnictwa, zajął Glucka tak dalece, że mu nietylko dał bilet na piérwsze przedstawienie, ale nawet wymógł na nim przyrzeczenie, ażeby go odwidził. Można sobie wyobrazić radość i uniesienie młodzieńca. Od czasu piérwszego odwidzenia zaczął Gluck cenić jego zdolności, i miał sobie za ukontentowanie udzielać mu nauki; on to wtajemniczył go w filozoficzną i poezyjną część muzyki, i kazał mu pod swym dozorem skomponować trzy dzieła dla próby, w której młodzieniec już całą głębokość swojego jenijuszu objawił.

W niejaki czas późniéj, wyjechał Gluck do Wiédnia, zkąd już nigdy do Francyi nie wrócił. Uczeń jego własnym siłom zostawiony, postanowił doświadczać takowych na wzniosłém stanowisku swojego mistrza, i przysłał do królewsko-muzycznéj akademii operę, pod nazwą: »*Kora.*« Zniechęcony długą przewłoką, udał się do teatru *à l'Opera comique*, i wystąpił tamże w roku 1790 po raz piérwszy z operą: »*Eufrozyna i Konradyn*«, właśnie w tym samym czasie, w którym się wydarzyły owe wypadki, które ci opowiadać zamyślam. Sądzę, iż nie potrzeba już dodawać, kto jest bohatérem mojéj powieści; nazwa opery: »*Eufrozyna i Konradyn*« przywołuje w pamięć każdemu jéj kompozytora, a nim jest: Henryk Szczepan Mehul.

Muzyka téj opery, w zupełnie nowym i oryginalnym rodzaju, sprawiła w Paryżu nadzwyczajne wrażenie, i tak wielką sławę zjednała kompozytorowi, iż ten, co był niedawno nieznanym, za jednym razem ujrzał się być wzniesionym w świetną sferę artysty. Duet w *Eufrozynie* jest może najpiękniejszą i największe wrażenie sprawującą sztuką, jaka tylko istnieje; niewyjmując pod tym względem nawet najlepszych utworów samego Glucka. Duet ten jest dramatyczny; tak a nie inaczéj śpiéwać powinien *Konradyn* rozsrożony; tak a nie inacéj wyrażać się powinna wzgardzona, wzniosłego charakteru kobiéta. Mehul mający lat trzydzieści, jest Gluckiem w tém arcydziele. Zdaje się, iż to dla autora tego duetu napisał Horacy wiérsz:

»*Irritat, mulcet, falsis terroribus implet,*
Ut magus.«

Wyobrazić sobie można to rozkoszne zachwycenie, w jakiém szczęśliwy Mehul przez tak wielki tryjumf zostawał. A jednak, gdy na drugi dzień z rana, przytém samém, które tam widzisz siedział okienku, wtedy nie myślał ani o świetném uwielbieniu, ani o pochlebnych oklaskach, jakie jego opera przeszłego wieczora pozyskała. Tęsknota i niespokojność dręczyły jego serce, a twarz jego bladła i rumieniła się na przemiany. Oparty o to okno, poglądał trwożliwie w przestrzeń daleką, to znowu usiadłszy starał się rozerwać czytaniem lub powiodłszy ręką po szpinecie, znowu stanął przy oknie. Serce jego biło gwałtownie, płomień przenikał jego wnętrze, a wyciśnięta łza toczyła się po jagodach.

»Ona dzisiaj nie przyjdzie«, rzekł nakoniec, i tak mocno zacisnął blade usta, że omal z nich krew nie wytrysła.

Poczém znowu oddalił się od okna, wziął znowu książkę w rękę, usiadł znowu przy fortepijanie, spojrzał na zégar ścienny, i znowu się z okna wychylił.

Nie przychodzi!

»O jakaż szalona trawi mię namiętność, jakże niérozsądny jestem, że kocham kobiétę, która sobie igraszkę czyni z udręczenia mojego!... Odtąd nie chcę jéj widzieć! tak, odtąd już jéj widzieć nie będę! wyjadę z Paryża i udam się do Rzymu. Tam starać się będę, abym o niéj zapomniał, tam znajdę innę, która mnie kochać będzie!«

W téj chwili drzwi się otworzyły, a Mehul rzucił się do nóg tak pięknéj niewieście, jaka tylko sobie najbujniejsza fantazyja wyobrazić może. Czarne jéj oczy biły promieniem rozkoszy i uszczęśliwienia; jéj rysy twarzy miały jakiś nieodparty powab tajemnicy, jéj śnieżna, wygięta szyja, jéj piękna, owalna głowa, wszystko to wzbu-

dzało podziwienie, i przemocą kłoniło do zachwycenia. A jeżelibyś ustom jéj piękniejszego kroju, zębom świéższéj białości, uśmiéchowi więcéj słodyczy, a rękom milszego zaokrąglenia mógł życzyć, jednakże uroczemu dźwiękowi jéj głosu, rozkosznemu ulaniu jéj kibici, i okrągłym jéj formom, nigdybyś podziwienia swego odmówić nie zdołał.

»Okrutna!« rzekł biédny Mehul z westchnieniem, który téj chwili zupełnie o swoim gniewie zapomniał, i w którego oczach, utopionych w lubéj postaci, łzy radości zabłysły. »Okrutna! czekałem na ciebie przez trzy długie ciężkie godziny!«

Dziewica nie rzekła na to ani słowa, tylko rzuciwszy się w poręczowe krzesło, zaczęła niedbale powodzić jedną ręką po fortepijanie, a drugą spuściła dla Mehula, który u nóg jéj klęczał.

»Jak widzę, nie kochasz mnie Ludwiko?«

»Widzisz, jak niesprawiedliwym jesteś«, odrzekła dziewica. »Wyrzucasz mi, żem tylko chwilkę dłużéj się zabawiła... Alboż nie wiész, że musiałam być w teatrze na próbie... a potém przez cały ranek miałam bardzo nieprzyjemne odwidziny. Uprzykrzeni wierzyciele uwzięli się, ażeby mnie do żywego zmartwić... O! jakżeto są nieznośni ludzie!«

Mehul powstawszy pobiegł do biórka, wyjął z pośpiechem sakiewkę z dukatami i złożył ją na kolanach młodéj dziewicy.

»Otrzymałem to za wczorajszą operę«, rzekł z nieśmiałością. »Podzielmy się kochana Ludwiko.«

Dziéwica rzuciła na sakiewkę iskrzącym wzrokiem, podobnym do pożądliwego Panteru, gdy już ułowioną Gazellę w swoich pazurach ujrzy. Poczém schyliwszy się wdzięcznie ku Mehulowi, dozwoliła mu pocałowania w czoło.

»Zatrzymaj swe dukaty, mój przyjacielu«, rzekła, »cała bowiem summa ta nie wystarczyłaby na zaspokojenie tych dręczycieli.«

Mehul uśmiechnął się i położył znowu sakiewkę na kolanach Ludwiki.

»Weź ją, słodki aniele mój«, rzekł z niewysłowioną radością, jaką szlachetne, z zapałem kochające serce uczuwa, gdy wszystko, co tylko posiada, kochanemu przedmiotowi poświęca, »weź ją, zatrzymaj sobie całą tę kwotę Ludwiko. Dyrektor opery ma zapłacić mi dzisiaj w wieczór prawie takąż samę kwotę; przyjm tę fraszkę, którą ci teraz daję.«

Słowa te nie zawiérały w sobie prawdy. Dwa tysiące franków, które były w sakiewce, otrzymał Mehul jako *honoraryjum* za partyturę. Dał on cały swój majątek! Nie wiedział on z czego na drugi dzień żyć będzie, ale cóż go to zasmucać miało, skoro tylko ona uspokojoną i szczęśliwą była!

Tą razą Ludwika ujęła pieściwémi rączkami swémi głowę Mehula i okryła czoło jego słodkiémi pocałunkami... Poczém śród wesołéj rozmowy zbliżyli się oboje do okna. Osoby przechodzące wznosiły do góry głowę dla przypatrzenia się szczęśliwym kochankom, mówiąc: »Jakaż to piękna i dobrana para!« Bo jeżeli Ludwika była piękną, posępnéj twarzy Mehula nie zbywało także na przyjemności; na jasném széro-kiém czole jego widać było wyraźnie owe tajemnicze znamię, którém natura jenijusze odznaczać zwykła.

Po upłynionym kwadransie, Ludwika, w któréj oczach pomimo uprzejméj, tkliwéj i wesołéj rozmowy Mehula, znudzenie widać było, spojrzała na zégar ścienny, i rzekła nagle: »Ach, jakżem się spóźniła, przebacz, ale już odejść muszę.« Artysta usłyszawszy te słowa, zasmucił się niezmiernie, cały promień szczęścia uleciał z jego twarzy, i tylko to słowo: »już!« przecisnęło się z boleścią przez usta jego.

»Tak jest«, odrzekła, »nie uwierzysz jak wiele mam jeszcze sprawunków do załatwienia; muszę na następną sztukę nową suknię spróbować, nauczyć się roli, i być u pana Audinot z powodu dwóch scen, które koniecznie chce mi narzucić, a w których ja żadnego wrażenia sprawić nie mogę. Bądź mi zdrów przyjacielu.«

To rzekłszy podała mu rękę, wzięła sakiewkę i odeszła. Biédny Mehul patrzył za nią przez okno, dopokąd tylko okiem mógł sięgnąć, aż mu nareszcie w jednéj z pobocznych ulic z oczu zniknęła. Poczém Ludwika udawszy się w inną dzielnicę miasta, wsiadła do powozu i w jednym dniu zmarnowała na same tylko cacka i zabawki całą

kwotę, którą biédny kompozytor przez wiele miesięcy w pocie czoła zapracował.

Wkrótce po oddaleniu się Ludwiki, pewien aktor teatru *Ambigu*, w jednym czasie ze mną wszedł do pokoju artysty. Aktor ten, nazwiskiem Vicherat, prosił Mehula, aby mu dorobił muzykę do aryi, którą w następnéj sztuce miał śpiewać. Mehul oświadczył, iż się przychyli do jego życzenia i uczyni zadosyć jego prośbie; a gdy aktor wynurzył mu z tego powodu swoje podziękowanie, wszczęła się między nimi rozmowa o nowéj sztuce, która na drugi dzień w teatrze *Ambigu* przedstawioną być miała.

»Mówią, iż panna Ludwika Masson grać będzie w téj sztuce główną rolę«, rzekł Mehul, i zaczerwienił się wymówiwszy nazwisko swéj kochanki.

»Tak jest«, odrzekł aktor z obojętnością; »piękna zwodnica ta ma talent i pojęcie; ale zbyt jest lekkomyślna. Onegdaj powiedziała mi, iż się szalenie we mnie zakochała, ale ja temu bardzo mało wierzę.«

Mehul zbladł, zachwiał się i omal że nie zemdlał.

»Wpan kłamiesz«, odrzekł; »przyznaj się że skłamałeś, i że na Ludwikę potwarz rzuciłeś.«

»Mój panie«, odrzekł Vicherat, »gdyby kto inny, nie wpan, poważył się w ten sposób mnie obrazić, pociągnąłbym go do odpowiedzi; lecz wpanu przebaczam... Gdybyś lepiéj znał damy teatralne, nie tak mocno ujmowałbyś się za ich stałością. Ludwika jest już od sześciu miesięcy moją kochanką. Zresztą niebardzobym się martwił, gdyby mi ją kto odebrał, a nawet gotów jestem każdéj chwili odstąpić ją wćpanu.«

To rzekłszy pożegnał aktor Mehula i odszedł.

»Ha, jakież nikczemne oszukaństwo!« rzekł Mehul, gdy Vicherat wyszedł z jego pokoju, »odtąd téj nikczemnéj wietrznicy nigdy widzieć nie chcę! —«

Jakoż w saméj rzeczy już jéj nie widział, albowiem zachorował niebezpiecznie, a potém przyszedłszy do zdrowia, udał się w daleką podróż, w ciągu któréj *Stratonikę*, jednę z najdoskonalszych swoich oper napisał. Późniéj w roku 1793 wszczęła się rewolucyja. Mehul ożenił się, mianowany został członkiem instytutu, i napisał »*Melidora i Frozynę, Ariodanta, L'irato, Uthala, Józefa i jego braci*, »*Dzień wypadków.*«— Zająwszy się pracą, zapomniał zupełnie o Ludwice Masson, o któréj odtąd już nigdy nie wspominał.

Czas, oddalenie i praca, te trzy najskuteczniejsze środki, uleczyły go zupełnie z namiętnéj miłości. — Ludwika Masson, odebrawszy w sztuce »*Belle au bois dormant*« nadzwyczajne oklaski, albowiem sztukę tę przeszło cztérysta razy powtarzano, zniknęła z paryzkiego teatru. Aktorka ta zrujnowawszy kilku lekkomyślnych bogaczy, zdziwiwszy cały Paryż i przepychem i zgorszeniem swojém, chociaż to miasto nie łatwo czém-kolwiek zdziwić i zgorszyć można, opuściła nagle Francyję tak pokryjomu, że nikt nie mógł się dowiedzieć ani o jéj zamiarze, ani o miejscu, do którego się udała.

W lat dwadzieścia po piérwszém przedstawieniu *Eufrozyny*, przechadzałem się pewnego wieczora z Mehulem po bulwarze. Rozmawiając ze sobą szliśmy po przed jego dawne mieszkanie. Mehul spojrzał do góry i uśmiéchnął się smutno.

»W tym domu piérwsze dwie partytury napisałem, i kochałem Ludwikę Masson!« rzekł z westchnieniem, i obwinął się swoim płaszczem, gdyż wiatr listopadowy mocno dojmować zaczął.

Uszedłszy kilka kroków daléj, spotkaliśmy dwoje wirtuozów ulicznych, którzy na starym, małémi lampami oświetlonym kobiercu siedząc, piosnki śpiéwali. Mąż, już podeszłego wieku, był w aksamitnym surducie wypłowiałego koloru, a żona mająca na sobie sukienkę z lekkiéj, przeszarzałéj materyi, drżała od zimna. Z jestów ich poznać można było, że oboje grywali niegdyś w teatrze. Skończywszy piosnkę, przybliżył się mąż z pokorną miną do gości, i zaczął zbiérać datek litościwych słuchaczy. Nadstawiając każdemu gościowi biskajski bębenek, prosił o jałmużnę dla Ludwiki Masson, która niegdyś cały Paryż w sztuce: »*Belle au bois dormant*« zachwycała.

Gdy muzyk rzekł te słowa, postrzegłem, iż Mehul, któregom trzymał pod ramię, wzdrygnął się na całém ciele; albowiem

dopiéro téj chwili w zgrzybiałym starcu poznał aktora Vicherat, a w owéj obszarpanéj, brudnéj, i odrażliwéj kobiécie, Ludwikę Masson, którą niegdyś tak mocno kochał, i któréj niewierność omal że go do samobójstwa nie przywiodła. Wszystkie pieniądze, jakie tylko miał przy sobie, rzucił starcowi w biskajski bębenek, i nie rzekłszy ani słowa, pociągnął mnie za rękę, i oddalił się od tego nieszczęsnego widoku.

Uszedłszy kilkanaście kroków, ujrzeliśmy jak Vicherat i Ludwika Masson weszli do szynkowni, gdzie dla pokrzepienia oziębionych swych członków, kilka kieliszków gorzałki wychylili.

»Niejedna jest taka Ludwika w tych teatrach!« rzekł Brazier z westchnieniem, wskazując na dzielnicę miasta, w któréj się znajdowała większa część teatrów paryzkich, zacząwszy od *Petit Lazary* aż do teatru *de l'Opera*. »Na drodze szczęścia i sławy — zejść na taką nędzę — O, jakże smutném jest takie przeznaczenie!!«

OMAR I REHABA.

(Powieść arabska.)

Omar miał lat tylko dwadzieścia, żaden dowódzca hordy nie był piękniejszym, żaden dzielniéj dzikiego nie uskramiał rumaka, i żaden silniéj od niego nie rzucał włocznią; każdą razą obciążony zdobyczą i okryty ranami, wracał z potyczki, a najwaleczniejsi rycerze zawiścili synowi szejka.

A przecież Omar był smutny, jak dzień popozbawiony słońca. Nieodgadniona zgryzota trawiła jego serce; zaniedbał swego jasno-karéj maści bieguna, nie walczył już o nagrodę w gonitwach, i nie gonił już za lwem po stepach, był smutny.

»Cóż ci to?« zapytał go wiekiem podeszły ojciec. Omar spuściwszy w ziemię oczy, nie odrzekł ani słowa. »Dla czegożto tak mocno zmieniłeś się mój synu?« pytała go z czułością matka. Omar milczał. »Czemużto cię waleczny Omarze nie widzimy już w naszém kole?« pytali go orężni towarzysze. Młody rycérz odwróciwszy twarz swoję, oddalił się od nich w milczeniu.

Powierzył on swój smutek najpiękniejszéj z dziewic, młodéj Rehabie. Widział dolinę, w któréj kwitną róże, i w któréj pieściwe gazele czarném, przyjemném okiem wabią do siebie wędrowca; lecz ani karmin ulubionych kwiatów słowika, nie miał dla niego téj czarującéj żywości, jaką miały różane lica Rehaby, ani ich woń téj lubéj rozkoszy, jaką go poiło tchnienie młodéj dziewicy, ani oczy gazeli, tego słodkiego uroku, jakim go przejmowały oczy pięknéj kochanki!

Gdy synowi szejka przyszła na myśl Rehaba, wtedy wzdychał, i usiadłszy samotnie nad brzegiem strumienia puszczy, śród palmowych drzew rozkołysanych wieczornym wiatrem, zatapiał się w żałośnych myślach; już na samo wspomnienie o młodéj dziewicy drzało jego serce z tęsknoty. Niestety! jeżeliby kiedy srogi los przymusił go zapomniéć o Rehabie, natenczas młodość tego wojownika zwiędłaby podobnie jak aloes, oddalony od wrzących piasków swéj ojczyzny, w któréj promień słoneczny jego żółte, woniejące kwiecie całuje.

Pewnéj nocy nagle usłyszeli starcy wrzawę wojenną, która w około panującą ciszę przerwała; nadstawili ucha, chrzęt zbroi rozlegał się z daleka. Omar znaglony towarzyszyć młodym wojownikom, oddalił się pomimo własnéj chęci; w pochodzie krążył sęp nad jego głową, potém z wrzaskiem rzucił się na gołębia; przestraszony złowieszczą przepowiednią, postanowił był wrócić, lecz wstyd i hańba go wstrzymały.

W krótkim czasie zapomniał o tém czarném przeczuciu, i dla pozyskania miłego spojrzenia Rehaby, okrył się wieńcem sławy; waleczność jego wyrównywała prawie waleczności Andora, bohatéra rozległéj puszczy. Po skończonéj wojnie wrócił pełen miłości i nadziei; będąc młodym, pięknym i walecznym, dla czegoż miałby się z nadzieją rozstawać? Ojciec jego posiadał wielkie bogactwa, a Omar jeszcze nie doświadczył, że szczęście ziemskie podobne jest do owych przemijających obrazów, które łudzą na puszczy zbłąkanego wędrowca.

Lecz gdy wojownicy powrócili z potyczki, nie powitano ich radośnémi okrzyki, a gdy zanucili pieśń szczęśliwego powrotu, usłyszeli w odpowiedź same jęki i westchnienia. W niebytności ich inna horda napadła na ich koczowisko, i dla tego jedni opłakiwali śmierć poległych ojców, a drudzy rozwodzili żałośne jęki za dziećmi, które poszły w niewolą!

Gdy się Omar dowiedział, że jego ojciec poległ w boju, ścisnął w rozpaczy rękojeść oręża i rzekł do matki, która z płaczem w objęciu go trzymała: »Uspokój się kochana matko, nie ujdą ci łupiezcy mojego gniewu, wywrę ja na nich taką zemstę, że o niéj skały Beni-Zeja długo pamiętać będą!« Potém postrzegł matkę Rehaby, która samotnie przed namiotem siedziała.

Gdy mu oznajmiła nieszczęście, które ją podczas jego niebytności spotkało, zaczerwienił się

jak lew zraniony. Potém jęczał jak krokodyl, który swój pomiot postradał. W oka-mgnieniu kazał osiodłać swego rumaka, zwołał czémprędzéj wszystkich swych towarzyszy, i chyżéj niż wichr pogonił z nimi w dalekie stepy. Dogonił najezdników, walka była straszna, zacięta, przez dni trzy trwająca. W wieczór po skończonéj bitwie, z całéj osady Beni-Zeja, pozostała tylko jedna młoda matka, która jeszcze przed swoją śmiercią w krwie zbroczone niemowlę do swych piersi tuliła.

Omar pomścił się swego ojca, ale gdzież jest Rehaba! nadaremnie szukał jéj pomiędzy niewiastami, które wytępiona horda w niewolę była zabrała, a gdy o nią zapytał jeńców, których właśnie wydobył z więzów, odrzekli mu, że tę perłę sprzedała horda kupcom, dla ozdobienia nią królewskiego haremu. — Słowa te oddały walecznego Omara smutnéj rozpaczy!

Jednéj nocy oddalił się od rodzinnego miejsca nie pożegnawszy się z swoimi towarzyszami, i od tego czasu roni matka rzęsiste łzy za swoim jedynym synem!

Przez całe trzy lata błąkał się po najodleglejszych krajach. Wdarł się do haremu w Stambule, owém piękném, rozkoszném mieście, które nad brzegami błękitnego morza spoczywając, pogląda na rozkoszne brzegi Azyi, podobnie jak dziewica na drogę, którą jéj kochanek ma przybyć! Mimo groźne miecze rzezańców umiał sobie wyjednać wstęp do seraju, upojonego rozkoszami kalify, około którego głowy ostre dzirydy nieustannie czuwają.

Lecz płonna była jego nadzieja; nadaremnie szukał jéj w pałacu, w którym młody bramin Rohajowi o miłości Sakontali śpiewa piosnki przyjemne; naprożno odchylał purpurę zasłaniającą koczowiska chanów, którzy się po stepach Tartaryi błąkają. Odbywszy tyle trudów i niebezpieczeństw, w sercu jego pozostała tylko gorąca, przeszkodami i tęsknotą jeszcze bardziéj rozżarzona miłość, a zgasł tylko promień nadziei!

Pewnego dnia przybył do miasta, w którém panował król słynny z swojéj srogości; tysiące dziewic jaśniejących pięknością, jak lilije śród polnych kwiatów, zamieszkiwały najsamotniejszą część jego pałacu. — »Jeżeli jeszcze tam nie znajdę mojéj Rehaby«, rzekł Omar sam do siebie, »natenczas w grobie tylko szukać mi jéj pozostaje!«

Ale tysiące rzezańców strzegły haremu sułtana, a ten się śmierci poświęcił, kto się tam wnijść poważył! Lecz czémże była śmierć dla Omara? Nic nie pomogły wszelkie zapory; jednakże tą razą nie uszedł bacznego oka czarnego rzezańca. Stawiony w więzach przed królem zawołał z bolejącéj piersi: »O królu! błagam miłosierdzia twego; miałem kochankę, była życiem méj duszy, wydarli mi ją okrutnicy, od trzech lat szukam jéj nadaremnie. Może ty jesteś ten szczęśliwy, który ją ukrywasz, aby twój sen słodkiémi marzeniami upajała; jeżeli tak jest, weź moje życie, ale pozwól mi, aby raz jeszcze uściskać moję narzeczonę.«

»I któż jest twoją narzeczoną?« — »O królu! jeżeliś widział dziewicę tak smukłego wzrostu jak topola, tak wdzięcznych ust jak pączek róży, dziewicę, po któréj śnieżnych ramionach spływają krucze pierścienie, któréj wzrok ognisty topi serce twoje, więc ta jest moją narzeczoną, jéj towarzyszki Rehabą ją zwały«

»Cudzoziemcze, Rehaba, twoja narzeczona, jutro moją małżonką będzie; cóż mi dasz w okup, gdy ci ją odstąpię?«

»Moje życie królu!« — »Zgoda!« odrzekł król krwie chciwy, »ale jutro żyć nie będziesz. Przystajeszże na to zuchwały cudzoziemcze?« —

»Straszliwy królu!« rzekł Omar, »boleść moja byłaby i tak z czasem serce moje strawiła, miłą mi będzie śmierć od miecza, gdy twego słowa dotrzymasz.«

Gdy wieczorna zorza niebo upromieniła, dwóch abissyńskich niewolników przyszło do Omara, i zaprowadzili go do sali, gdzie w marmurowych kotlinach przejrzysty kryształ śrébrnym kołysał się blaskiem. Sto uroczych lamp rozlewało łagodne światło, a kosztowne wazy ziały najprzyjemniejszą wonią.

Słodkie dźwięki mandolin zapowiedziały przybycie dziewic haremu. Rehaba w orszaku niewiast, które w około niéj tańczyły, i jéj szczęście śpiewały, postępowała lękliwym krokiem.

W mniemaniu, że ją przed króla wiodą, mając na myśli zawsze swego Omara, płakała biédna dziewica, i dopiéro wtedy wyszła z obłędu, gdy ją Omar ujął w swoje ramiona; na jéj zdziwienie i wszystkie jéj zapytania, tém tylko odpowiadał Omar, że ją do swéj piersi przyciskał.

Ale szczęśliwe te chwile prędko upłynęły, i już bladém światłem na Wschodzie zarumieniło się niebo.—»To nie dzień« rzekła Rehaba z przestrachem »to tylko odblask w pełni księżyca.« — Ale wkrótce za piérwszém p[illegible]ianiem dnia, zadrzały tamaryndy okna ocieniające, na ich gałązkach, perłami rosy jakby tysiącami klejnotów połyskujących, zaśpiewały bengalisy, a ze szczytu minaretów rozległ się głos muezynów. Teraz dopiéro uczuł Omar z rozpaczą, że go śmierć czekała!

»Czemużeś tak smutny mój kochanku?« zapytała dziewica. — »Pomyśliłem sobie, że ten pocałunek jest może ostatnim«, odpowiedział Omar

z głębokiém westchnieniem, a na tę odpowiedź i dziewicę ciężki smutek owładnął.

W tejże chwili weszli rzezańcy i wzięli Omara. »Młody szaleńcze!« rzekł król do niego, »twoja godzina wybiła, umrzesz!« A Omar czekał śmierci spokojnie, bo jego serce boleść lodem ścięła.

Już kat podniósł miecz na głowę jego. »O królu!« zawołał Omar, »nim ci oddam życie, o jednę błagam cię jeszcze łaskę; gdy głowa moja spadnie, każ ją z daleka od twojego postawić pałacu, aby ta, która mnie kochała, widzieć jéj nie mogła; jednakże każ ją postawić w takiém miejscu, aby oczy moje widzieć mogły oblubienicę serca mojego, gdy na tarasy haremu świeżém powietrzem oddychać wyjdzie!« Król przyrzekł mu, ale nie dotrzymał słowa.

Gdy spadła głowa Omara, kazał ją sułtan przed oczy Rehaby zanieść, która gdy ją ujrzała, wydawszy krzyk najboleśniejszy, padła nieżywa na ziemię.

W kilka godzin potém przypatrywał się lud dwóm palom, na których dwie głowy zatknięte były; czoło jednej słońcem ogorzałe, wyrażało spokojność i dumę, twarz drugiej była blada i tak piękna, że każdy ubolewał nad losem istoty, która w najpiękniejszym kwiecie wieku tak okrutną śmiercią zginęła!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 42. i obejmuje: 1) Wolne gospodarstwo. 2) O kształcie i własnosciach koni, jak dalece te w potomstwo przechodzą (ciąg dalszy). 3) O kotłach parowych.

Z Warszawy: Wkrótce rozpocznie się druk tomu drugiego *Numizmatyki krajowéj*, opisanéj przez K. W. Stężyńskiego Bandtkiego.— Przekład francuzki pana Maciejowskiego: *Pamiętników o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Sławian*, jest właśnie pod prasą.— Teofil Glücksberg od dawna już ma zamiar ogłosić drukiem, w zupełnéj, poprawnej i ozdobnéj edycyi, wszystkie dzieła Kazimierza Brodzińskiego. Życzymy sobie, by to jak najprędzéj nastąpiło, bowiem tak długie w tém opóźnienie się uważamy za ubliżenie wielkiemu talentowi autora *Wiesława*, i za krzywdę wyrządzoną publiczności.

Małéj Encyklopedyi polskiej, wydawanéj w Lesznie u Günthera, wyszedł zeszyt drugi.

Wyczytujemy w Nrze 26. poznańskiego »Tygodnika literackiego«, że szanowny onegoż redaktor, p. A. Wojkowski, jest także muzykiem; dorobił bowiem do kilku piosnek muzykę, o któréj wyjściu ogłasza. Chce, jak się zdaje, udowodnić, że można służyć dobrze i dwóm panom.

Augustyn Cieszkowski, autor dziełka: *Prolegomena zur Historiosophie* (o którém wspomnieliśmy w swoim czasie), wydał teraz pisemko: *Du credit et de la circulation.*

Śmiałość bezprzykładna. Z Tromsoe pod dniem 31go lipca donoszą: Na morzach naszych wydarzył się wypadek, któryby niezaprzecznie bajką nazwano, gdyby na istotnych poświadczeniach opartym nie był. Dwóch ludzi przepłynęło na wiosłowym bacie Lodowate morze sto mil rozległe, dla zbierania na Szpicbergach gęsiego puchu, i wróciło z tamtąd szczęśliwie z ilością, która trzysta talarów wartości mieć może. Nazwiska tych zuchwalców są: Jonas Witbro i Olaus Vejen, obadwaj rodem z Lewangeru. Pierwszy żeglował kilkakrotnie jako sternik do Szpicbergów, jednakże nie jest egzaminowanym, ma lat trzydzieści i sześć, jest żywego i śmiałego temperamentu, lecz bardzo czuły i z największą skromnością o swojém śmiałém przedsięwzięciu wspomina, drugi zaś jest stolarczykiem.

Ulepszenie puszkarstwa. Bezstronny korespondent hamburski donosi co następuje: Powszechnie teraz wiadomo, że puszkarstwo europejskie, co się dotyczé pewnego strzału granatnikami, przez odkrycie, które z Anglii przywieziono, i którego w Prusiech doświadczono, w najnowszym czasie bardzo wydoskonaloném zostało. Porucznik wyższego stopnia nazwiskiem Schlimmbach, będący w służbie pruskiéj, i poszedłszy później w odstawkę, jeździł od niejakiego czasu po obcych krajach, w celu przysłużenia się jakowemu rządowi swojém odkryciem. Przybył także do Francyi. Wydział artyleryi dozwolił mu w Vincennes złożyć próbę swego strzelania. Lecz gdy próba ta pomyślnie się powiodła, wydział, zamiast wstawienia się do rządu, aby od pana Schlimmbacha nabył tego nowego sposobu, przedstawił, iż próba jedynie przez przypadek się powiodła. Oficer z niczém odprawiony, któremu w Anglii jeszcze gorzéj się wiodło, gdyż mu tam przy składaniu próby niejaką część jego metody wypatrzono, wydał w téj mierze pisemko, w którém okazuje naocznie figurami, jakie skutki osiągnął próbą swą przed wydziałem puszkarzy francuzkich, i w którém bardzo ostro rozbiera obecny stan francuzkiego i angielskiego puszkarstwa. Pisemko to ma nazwę: *Examen critique des armes à feu française et anglaise.* Pan Schlimmbach oświadczywszy w przedmowie swego pisemka, iż, ponieważ sposób jego strzelania nie zawisł bynajmniéj ani od wiatru, ładunku, długości działa, ani też od dotychczas znanéj rektyfikacyi kuli, utrzymuje, że wszystkie przezeń robione kule, bomby i granaty w ten sposob rzucać będzie, iż takowe na odległość 1200 metrów, zawsze w prostokąt 80 metrów długości, a 18 metrow szerokości, większa zaś z nich część nawet w prostokąt 30 metrów długości, a 8 metrów szerokości, padać będzie, coby w istocie dziwnym wypadkiem był! Następnie sam podejmuje się lać wszelkiego gatunku działa żelazne, które nigdy nie pękną, tak dalece, iż wszystkie działa ze spiżu niepotrzebnemi się okażą. Od czasu wydania tego pisemka na widok publiczny, twierdzi także, że jeszcze większe odkrycia uczynił w zakresie swéj umiejętności, a mianowicie pod względem ręcznéj broni piechoty. Jest on téj chwili w Aleksandryi; Mehmed Ali przyjął go otwartémi ramiony, i pułkownikiem artyleryi mianował.

Zdanie Dumasa. Aleksander Dumas, który dość długi czas w Niemczech przebywał, i z tego powodu tameczny stan teatru przyzwoicie ocenić może, oświadczył w téj mierze następujące zdanie: »Zdziwiłem się nie pomału ujrzawszy na teatrach niemieckich same dramatyczne utwory francuzkie, a mianowicie takie, które albo do najpośledniejszych należą, albo które już od dziesięciu lub więcéj lat we Francyi przebrzmiały. Powtarzam jeszcze raz, że się mocno tym wypadkiem zdziwiłem, albowiem w Niemcach bardzo rozumny, poczciwy i tworczy lud znalazłem. Lecz wkrótce wyjaśniłem sobie tę nadzwyczajną zagadkę. Niemcom zbywa na uznaniu się w narodowém jestestwie swojém, a przeto i wszelka usilność ich zmierza po największéj części do lekceważenia rzeczy ojczystych!

Majątek Branickich. Puscizna po hetmanowej Branickiéj prócz wyposażenia córek, wniosła w dziedziczny dóm hrabi Władysława Branickiego 2,400,000 morgów pola, 200,000 dusz, 60 milijonów rubli w gotówce, a cztery milijony w meblach.

Książę Pückler-Muskaw. Potwierdza się wiadomość, że książę Pückler sprzedał swoje dobra,

które się ponajwiększéj części z majętności Muskau, położonéj w obwodzie Rotenburskim, składały. Nabywcą tych znacznych dla lasów i kopalni ałunu zyskownych dóbr, z spaniałym, książęcym zamkiem i zwierzyńcem, tudzież wielkim, kosztownym zakładem szlamówych kąpieli, jest hrabia Renard, jeden z najmajętniejszych obywateli szlązkich. Nie wątpią także i o tém, że ten książę literat i wędrowiec, już więcej do dóbr swych nie powróci. Z małżonką swoją o 10 lat od niego starszą, córką zmarłego kanclérza państwa, księcia Hardenberga, rozwiódł się już od r. 1826. Małżeństwo to było bezdzietne, a że sam książę dnia 30. października już 56 rok zaczął, przeto mniemać można, że nowy ten dóm książęcy (od roku 1822) razem z nabywcą téj godności wygaśnie.

Sułtanka Walida (matka panującego sułtana), podług tureckiéj ustawy, będąc matką Kalify, jest jako święta czczona. Do jéj wyroku odwołać się wolno każdemu prawowiernemu. Nawet żony sułtana za zbliżeniem się do niéj cześć boską jéj okazywać i rąbek jéj szaty całować muszą. Tylko ona jedna chodzi bez zasłony, i żadnemu Moslemitanowi nie wolno rzucić na nią swym wzrokiem. Do niej należy prawo zabiérać głos w radzie państwa, w któréj zdanie jéj częstokroć rzecz rozstrzyga.

Sen urzeczywiszczony. Pewien korespondent donosi z Mnichowa, co następuje: Opowiem wpanu rzeczywisty wypadek, który się tu wydarzył, a który zapewne niejednemu psychologowi do rozmyślania stanie się przedmiotem. Pewna uboga tutejsza familija miała 30 dzieci, z których dwadzieścioro jeszcze po dziś dzień żyje. Nie masz wprawdzie w tém nic dziwnego, że się córce téj familii numera śniły; ale że się jéj śniło pięć numerów otoczonych złotym blaskiem tak doskonale, iż dziewczyna ocknąwszy się ze snu, wszystkie pamiętała i wszystkie, jakie miała pieniądze na nie postawiła, w tém już jest coś osobliwego. Pięć numerów tych wyszło zupełnie w tym samym porządku, w jakim się śniły dziéwczynie, a loteryja wypłaciła jéj ośmnaście tysięcy złr. Teraz pytam się, jakim organem dusza zaglądnąć może w przyszłość, którą tylko najdowolniejszy przypadek rządzi? albo, niemasz istotnie w świecie żadnéj przypadkowości, jestżo wszystko w porządku już przygotowane, i tylko nam się pomału z czasem w objawę wyposrednia?

Słuszne ukaranie. Wiadomo, iż pod pięknem niebem w Prowancyi, wszystkie budowle przez długość czasu przybiérają owe żółte i złotawe odcienie, które tak mocno podziwiają podróżni. Atoli zdaje się, iż burmistrz Wokluzy nie dzieli z nimi tego podziwienia, gdyż tamtejszą starą wieżę kościelną niedawno pobielić kazał. Za ten dowód dobrego smaku, prefekt departamentu osądził go na zapłacenie 173 franków kary.

W Anglii wszystko ma wartość w miarę procentu. Na ostatniém, rocznem zgromadzeniu nowego cmentarzowego towarzystwa w Londynie, przewodniczący akcyjonaryjuszóm, zagaił posiedzenie w sposób następujący: »Z wielkiém ukontentowaniem donoszę wpanom o pomyślnym wypadku, że pogrzeby na naszym cmentarzu w roku bieżącym w dwójnasób były liczniejsze, niżeli w roku przeszłym.«

Mały nałóg. Wypadek, który niedawno w Paryżu się wydarzył, jest dowodem jak przebiegłemi są pokojówki. Pani N., jedna z znakomitych dam naszego wieku, przyjęła w obowiązek pewną subretkę, niemającą żadnéj innéj przywary, jak tylko tę jedną, że namiętnie lubiła płyn, który lord Byron nader poetycznie opisał. Napój ten nazwany przez sławnego tego poetę lubą Najadą z brzegów Flegetonu, nic innego nie jest, jak tylko *Cognac*, jak go powszechnie także likiernicy mianują. Ponieważ miesięczna płaca pokojówki nie wystarczała na zaspokojenie ulubionéj namiętności, wymyśliła więc w téj mierze środek następnjący: Udawszy się do źródła swojego nałogu, szepnęła kupcowi w ucho: »Pani moja ma maleńki nałóg, który przed całym światem tai; jestto jéj grzech niewinny; zginęłaby ze wstydu, gdyby jéj kto ośmielił się powiedzieć, że wódkę pijać lubi; jestto tajemnica, która do tychczas tylko mojéj pani i mnie wiadomą była. Chciej wpan przeto dawać jéj ten artykuł na osobny rachunek; gdyż to jest oprócz tego taki wydatek, o którym ani jéj mąż ani marszałek domu wiedzieć nie powinien. Przez moje ręce będziesz wpan przysyłał jéj *cognac*. Lecz zaklinam wpana na miłość boską, abyś przed nikim nie wspominał o tym nałogu.« Jedna butelka po drugiéj, nakoniec i cała baryłka poszła do budoaru pani N. Kupiec wpisał w książkę nazwisko nowéj pobierczyni. Pewnego dnia zniknęła subretka, a z nią i mały nałóg pani N. Tym sposobem upłynęło kilka miesięcy; pani N. nagle pozbyła się nałogu, ale kupiec narachował jéj dług, który już się starzeć zaczynał, przeto zamyślił on upomnieć się o zapłatę, ale nie wiedział jakim sposobem, aby nie wyjawić owego małego nałogu. Napisał do niéj na niebieskim papierze bilet, w którym ją między cztérma oczyma o rozmowę upraszał. Pani N. roześmiawszy się rzekła, że kupiec podobno od rozumu odszedł. Jednakże kazała mu powiedzieć, aby przyszedł. Kupiec wszedłszy do pokoju rzekł z nieśmiałością: »Łaskawa pani, przebacz, iż przychodzę upomnieć się o moję należytość, z powodu owego maleńkiego nałogu.« — »Cóżto za maleńki nałóg?« zapytała pani N. — »Jestto mały, niewinny nałóg, który czasem cokolwiek i zaszkodzi... ale to jest rzecz, która do mnie nie należy.« — »Niezechcesz że wpan jaśniéj się wytłumaczyć?« — Kupiec obawiając się okazać niegrzecznym rzekł: »Chciej pani zapłacić mi moję należytość!« — »Coza należytość?« — »Jako, toż pani nie wiesz? Należytość za wódkę, którąś pani wypiła.« — Pani N. zdziwiona w najwyższym stopniu, zadzwoniła i kazała służącym kupca za drzwi wyrzucić. Wszelako późniéj wszystko się wykryło, pani N. zapłaciła mu należytość i zapisała w swoim imionniku tę ważną naukę: że każda dama albo bez pokojówki się obejść, albo też gniewać się nie powinna, jeżeli jakiego małego nałogu nabędzie.

Śmiałek zawstydzony. Na bulwarze włoskim w Paryżu, jadła niedawno pewna dama lody z swoim małżonkiem, po którym na pierwszy rzut oka poznać było można, że jest z prowincyi majętnym obywatelem. Pewnego eleganta, który był nieco szampanem podweselony, zebrała chętka w natrętny sposób zaglądnienia pod kapelusz nieznanéj damie. Małżonek, który właśnie w téj chwili trzymał w ręku filiżankę z lodami, nic rzekłszy ani słowa i z największą flegmą cisnął w twarz lody natrętnikowi i rzecze: »Ach, przebacz, mój panie, chciałem zgasić tylko jego cygaro, ponieważ widziałem, iżby się chustka mojéj żony była zajęła!« To rzekłszy powstał z miejsca i wziąwszy swoję żonę pod ramię oddalił się. Wszyscy obecni parsknęli od śmiechu, a młody panicz mając wąsik i bródkę obryzgane lodami, stanął jak ów, który trzech zliczyć nie umié.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*